

Hans Christian Andersen

Słowik

Wiele lat upłynęło od zdarzenia, które wam chcę opowiedzieć, więc posłuchajcie, zanim ludzie całkiem o nim zapomną.

Wiecie zapewne, że cesarz chiński jest Chińczykiem, zarówno jak jego doradcy i w ogóle wszyscy mieszkańcy tego kraju.

Otóż pałac tego cesarza należy do najpiękniejszych gmachów w całym świecie: olbrzymi, wspaniały i z najcieńszej porcelany, tak kruchej i delikatnej, że prawie dotknąć się jej nie można.

Dokoła pałacu rozciąga się ogród, pełen najrzadszych, najpiękniejszych kwiatów. Do tych ostatnich przywiązane są małe dzwoneczki ze szkła i srebra, które dzwonią, kiedy kto przychodzi, a to dlatego, aby nie zapomniał nikt spojrzeć na nie.

Tak mądrze wszystko było urządzone w ogrodzie chińskiego cesarza. A ogród ciągnął się bardzo daleko i sam ogrodnik nie wiedział na pewno, gdzie się kończy. Bo też naprawdę nie kończył się wcale, ale łączył z lasem ogrodowym, pełnym głębokich jezior i drzew starych, który dochodził aż do brzegów morza. Morze było błękitne i bardzo głębokie — do samego brzegu przyplływać mogły wielkie statki i zatrzymywać się pod gałęziami drzew olbrzymich, prastarych.

Na jednym z nich, na niskiej zielonej gałęzce, słowik uwił gniazdko i śpiewał co noc tak cudownie, iż ubodzy rybacy, którzy wypływali na morze dla zarobku, opuszczali sieci i siedzieli bezczynnie, zasłuchani w pieśń czarodziejską.

— Boże, jakież to piękne!... Boże, jak on śpiewa...

Z całego świata zjeżdżali się do Chin podróżni, aby obejrzyć cesarską stolicę, wspaniały pałac i ogród cudowny, lecz kto z nich tylko usłyszał słowika, powtarzał bez namysłu:

— To najpiękniejsze ze wszystkiego.

Powróciwszy do ojczyzny, podróżni opowiadali o cesarzu, o jego pałacu i ogrodzie, o wszystkich cudach, które oglądali. Uczni pisali o tym wiele książek, w których podziwiali rzeczy piękne, „lecz słowik najpiękniejszy ze wszystkiego” — zapewniał każdy po kolei. Poeci układali nawet śliczne wiersze, chwając leśnego śpiewaka.

Książki te rozchodziły się szeroko po świecie, a niektóre zawędrowały do rąk samego cesarza chińskiego. Zasiadł w złocistej koronie na kosztownym krześle i kiwając głową z wielkiego zadowolenia, czytał o przepysznym pałacu swoim i ogrodzie.

„Ale słowik najpiękniejszy ze wszystkiego” — powtarzało się na każdej kartce.

— Co to ma znaczyć? — spytał cesarz zdziwiony. — Słowik? Cóż to takiego? W ogrodzie moim jest coś tak pięknego, że zachwycają się wszyscy podróżni, a ja dowiaduję się o tym z ich książek?

I zawołał natychmiast szambelana.

Był to dygnitarz tak dumny, że jeśli który z niższych od niego urzędników śmiał mu zadać jakie pytanie, odpowiadał tylko: — Hm! — co i po chińsku nic nie znaczy.

— Dowiaduję się z książek — rzekł cesarz — że w moim ogrodzie mieszka słowik, ptak cudowny, najpiękniejszy ze wszystkiego, co się w moim państwie znajduje. Dlaczego ja o nim dotychczas nic nie wiem?

— I ja nic o nim nie słyszałem — odparł pokornie szambelan. — Nie był dotąd u dworu przedstawiony.

— Więc żądam, aby dzisiaj został przedstawiony — rzekł monarcha. — Świat cały wie o skarbie, jaki posiadam, a ja jeden nic o nim nie wiem!

— Pierwszy raz o tym słyszę — powtórzył szambelan — ale się postaram odszukać go zaraz.

Odszukać? Gdzie go szukać? Biedny szambelan biegał bez wytchnienia po wszystkich salach, schodach, korytarzach, z dołu na górę i z góry na dół, wypytywał wszystkich — ale mu nikt nie umiał odpowiedzieć: nikt w pałacu nic nie słyszał o słowiku i nikt nic o nim nie wiedział.

Wrócił więc do cesarza, zapewniając, że słowika nie ma na świecie, a w książce napisali widocznie nieprawdę.

— Wasza cesarska mość niechaj nie wierzy temu, co piszą w książkach — mówił z

przekonaniem — wszystko to baśnie bez żadnego sensu i niebezpieczne kłamstwa.

— Ależ tę książkę przysłał mi sam Dalajlama — zawołał cesarz — więc baśni w niej nie ma, a kłamstwa być nie może. Chcę usłyszeć słowika. Żądam, aby dziś jeszcze został mi przedstawiony; obdarzę go najwyższą łaską. A jeżeli go nie znajdziecie, cały dwór po wieczery zostanie skazany na bambusową chłostę.

— Tsing-pe — odparł szambelan i zaczął na nowo przebiegać korytarze, sale, galerie i schody. Za nim biegł cały szereg dworzan i urzędników, gdyż nikt nie miał ochoty na bambusową chłostę.

Lecz nic nie mogli dowiedzieć się o słowiku, którego wielbił świat cały. W pałacu cesarskim nie wiedziano o jego istnieniu.

Na koniec zapytali o niego ubogą dziewczynkę, pomywaczkę u cesarskiego kuchcika, którą przypadkiem spotkano na drodze.

— Jakże bym mogła nie znać słowika? — odparła. — Jakże bym mogła nie znać jego śpiewu! Słyszę go co dzień, gdy niosę wieczorem resztki z kuchni dla chorej matki. Siadam wtedy w lesie albo nad brzegiem morza i słucham, słucham go bez końca i nie mogę odejść, bo tak mi przyjemnie i słodko, że łzy płyną z oczu, jak gdyby mnie matuchna całowała.

— Słuchaj — przerwał szambelan — dostaniesz miejsce nadwornej kucharki, i wyrobię ci prawo patrzenia przez szparę, jak cesarz obiaduje, jeśli nas zaprowadzisz do słowika, który musi być dziś wieczorem przedstawiony u dworu.

I natychmiast ruszyli wszyscy za dziewczynką do lasu, gdzie śpiewał słowik.

Uszli już dość daleko, kiedy ryknęła krowa.

— Oho! — zawołał z radością szambelan. — Słyszycie go? Co za siła w małym ptaszku. Istotnie, to zadziwiające! Ale zdaje mi się, że go już słyszałem kiedyś.

— To krowa ryczy — rzekła mała pomywaczka. Do miejsca, gdzie mieszka słowik, jeszcze bardzo daleko.

Wkrótce w pobliskim błocie zarechotały żaby.

— Ach, jak ślicznie! — zawołał kapelmistrz nadworny. — Zupełnie jak szklane dzwonki!

— To żaby — odezwała się znowu dziewczynka — ale teraz zapewne usłyszymy go już

niedługo.

Rzeczywiście niebawem rozległa się pieśń słowika.

— To on! — zawołała z radością dziewczynka. — Ach, słuchajcie, słuchajcie! Patrzcie, siedzi na gałązce!

I wskazała szarą ptaszynę pośród zielonych liści.

— Czyż to być może? — spytał zdumiony szambelan. — Nigdy nie przypuszczałem, aby słowik mógł mieć tak pospolitą powierzchowność. Chyba że stracił barwy pod wpływem wzruszenia, na widok tylu osób znakomitych.

— Słowiczku! — zawołała radośnie dziewczynka. — Nasz cesarz życzy sobie, abys mu zaśpiewał.

— Z największą chęcią — odpowiedział słowik i zaśpiewał, jak mógł najlepiej.

— Jak dzwoneczki! Jak srebro! — powtórzył szambelan. — Bardzo pięknie, prześlicznie! Patrzcie tylko, jak to gardziołko pracuje! Przepowiadam, że u dworu będzie miał niesłychane powodzenie.

— Czy mam jeszcze zaśpiewać dla cesarza? — zapytał słowik, przekonany, że sam monarcha słucha jego pieśni.

— Najmilszy słowiku — przemówił szambelan — mam zaszczyt w imieniu cesarza zaprosić cię na dziś wieczór do pałacu, abys mógł cudownym śpiewem zachwycić samego monarchę.

— Najlepiej lubię śpiewać w lesie — odparł słowik — lecz skoro cesarz żąda, stawię się wieczorem w pałacu.

W głównej sali porcelanowej przygotowano wspaniałe przyjęcie; ściany, sufit i podłoga, błyszcząły od świateł, w korytarzach ustawiono najpiękniejsze kwiaty, a dzwoneczki na nich dzwoniły tak głośno, że trudno było rozmawiać swobodnie.

Na środku sali, przed tronem cesarskim, umieszczono złoty pręcik dla słowika. Dwór cały był zebrany, mandaryni w galowych strojach, damy w toaletach balowych, nawet małej pomywaczce, która znalazła słowika, pozwolono patrzeć przez szparę, gdyż mianowaną została obecnie nadworną kucharką jego cesarskiej mości.

Wszystkie spojrzenia były zwrócone na ptaszka w szarych piórkach, siedzącego na złotym

pręciku; sam monarcha skinął mu głową łaskawie.

Wtem słowik zaczął śpiewać. Śpiewał tak cudownie, że łzy błysnęły w oczach chińskiego cesarza i spłynęły mu z wolna po policzkach. Widząc to, słowik śpiewał jeszcze piękniej, głos jego przenikał serca i napełniał je weselem. Rozpromieniło się oblicze władcy i w uniesieniu radości obdarował śpiewaka własnym swym złotym pantoflem, który ptaszek odtąd mógł nosić na szyi.

Ale słowik podziękował za dar tak wspaniały.

— Jestem wynagrodzony dostatecznie — mówił — widziałem łzy w twych oczach, o monarcho: to najwyższa nagroda dla śpiewaka. Łzy twoje mają cenę i wartość niezwykłą. Sam Bóg widzi, że hojnie zostałem wynagrodzony.

I znowu zaczął śpiewać, jeszcze rzewniej, jeszcze piękniej.

Cały dwór był w zachwycie. Damy w balowych strojach nabierały w usta wody i głośno przelewały ją w gardziółkach, co miało naśladować głos słowika; mandaryni i dworzanie kiwali głowami; nawet służba wyrażała zupełne zadowolenie, a to znaczy bardzo wiele, bo jej dogodzić — jak wiadomo — trudniej, niż najwyższemu dygnitarzom.

Słowem, powodzenie śpiewaka było nieporównane.

Miał odtąd zostać na cesarskim dworze i zamieszkać w pałacu, w klatce złoconej, z której wolno mu było wylatywać na przechadzkę dwa razy dziennie i raz każdej nocy. Do posługi dano mu dwunastu lokai, a każdy do nóżki ptaka przywiązywał jedwabny sznurek, aby mu lepiej było latać.

W całym mieście nie rozmawiano o niczym, tylko o cudownym ptaku, i jeśli dwie osoby spotkały się na ulicy, to zamiast powitania, jedna z nich natychmiast wymawiała „sło” — druga kończyła „wik”. Dwunastu kupców imieniem słowika nazwało dzieci swoje, choć z tych „Słowików” żaden nie miał w gardle struny słowiczej.

Dnia pewnego cesarz otrzymał pakiecik z napisem: „Słowik”.

— Pewno nowe dzieło o naszym śpiewaku — rzekł zadowolony.

Lecz w pakiecie nie było książki, tylko słowik sztuczny, zrobiony bardzo dziwnie i misternie, a cały osypany brylantami, rubinami i szafirami.

Gdy nakręcono tę maszynkę, sztuczny słowik zaśpiewał zaraz pieśń długą i uczoną. Przy tym bardzo wspaniale poruszył ogonem, który się mienił blaskiem kosztownych kamieni. Na szyi miał jedwabną wstążeczkę z napisem: „Czymże jest słowik Dalajlamy w porównaniu ze słowikiem cesarza chińskiego!”

— Cudowny! Wspaniały! — wołali dworacy i ten, kto doręczył pakiet cesarzowi, otrzymał zaraz tytuł „Nadwornego Obersłowicznika jego cesarskiej mości”.

— A teraz niechaj razem zaśpiewają — rozkazał cesarz — będzie wspaniały duet.

Nakręcono sztucznego ptaka i miały śpiewać razem, lecz duet się nie udał, gdyż słowik sztuczny śpiewał podług przepisanej miary, a leśny śpiewak z serca i natchnienia.

— Ten nic nie winien — zdecydował kapelmistrz nadworny, wskazując sztucznego ptaka — doskonale trzyma się taktu, jak gdyby się wykształca w mojej szkole.

Nakręcono go więc do śpiewania solo i miał powodzenie nie mniejsze od słowika prawdziwego, a kosztownym, błyszczącym strojem bardziej zachwycał wszystkich.

Jedną i tę samą sztukę śpiewał trzydzieści trzy razy i nie zmęczył się wcale. Wszyscy słuchali go z wielkim zajęciem, lecz nie umieli jeszcze melodii na pamięć, gdyż była bardzo trudna. Chcieli nakręcić go raz trzydziesty czwarty, ale cesarz zażądał, aby teraz zaśpiewał słowik żywy.

...Lecz gdzież się podział?...

Niespostrzeżony wyfrunął przez okno i uciekł do swojego lasu zielonego.

— A to co? — pytał cesarz z niezadowolaniem.

— A to co? — powtórzyli natychmiast dworacy i zaczęli szemrać z głośnym oburzeniem, wyrzucając niewdzięczność słowikowi.

— Na szczęście lepszy ptak nam został — zdecydowali wreszcie.

Kazano go nakręcić po raz trzydziesty czwarty i wysłuchano znowu z poważnym skupieniem

doskonałej i trudnej pieśni, której nikt jeszcze nie mógł się nauczyć.

Kapelmistrz nie miał dość słów na pochwałę misternego śpiewaka, który, jego zdaniem, wart był nieskończenie więcej od słowika prawdziwego, nie tylko z powodu pięknej i kosztownej powierzchowności, lecz głównie ze względu na znakomity wewnętrzny mechanizm.

— Raccie panowie tylko sami ocenić tę różnicę — mówił — ze słowikiem prawdziwym nigdy nie wiadomo, co zaśpiewa? jak zaśpiewa? Jest się na jego łasce. A w sztucznym wszystko stałe, jasno określone i wiadome. Można go otworzyć, obejrzeć walce i sztyfciki, zrozumieć, skąd się głos bierze i jakim sposobem.

I wszyscy byli tego zdania, a Nadworny Obersłowicznik otrzymał pozwolenie pokazania ptaka ludowi w najbliższe święto.

Wszyscy słuchali go z wielkim zachwytem i podnosili w górę palec wskazujący, wołając: — O! — potem się rozchodzili, kiwając głowami.

Tylko biedni rybacy, którzy słyszeli nieraz śpiew słowika, inaczej myśleli sobie.

— Ładnie śpiewa — mówili — ale czegoś mu brakuje. A czego? Sami nie wiemy.

Na słowika zapadł wyrok wygnania z granic państwa chińskiego.

Sztucznego ptaka umieszczono na jedwabnej poduszce u wezglowia cesarza. Otaczały go wszystkie kosztowności i dary, które otrzymał za pieśni; przyznano mu też tytuł: „Wielkiego śpiewaka jego cesarskiej mości” i pierwsze miejsce obok cesarza przy stole po lewej stronie, jako po stronie serca, to jest ważniejszej, gdyż i chiński cesarz ma też serce po lewej stronie.

Kapelmistrz nadworny napisał o nim dzieło bardzo uczone i pełne niezwykłych wyrazów w dwudziestu pięciu tomach; każdy je też kupował, wychwalał, aby o nim nie pomyślano, że jest nieukiem, który podobnych rzeczy nie rozumie.

Tak upłynął rok cały. Nie tylko dwór i cesarz, ale wszyscy mieszkańcy stolicy umieli już piosenkę słowika na pamięć, słuchano jej wszakże z coraz większą przyjemnością, gdyż każdy mógł wtórować teraz śpiewakowi. Przyśpiewywali też wszyscy: thiu, thiu, thiu! glu, glu, glu! śpiewali ulicznicy na ulicach, śpiewał i sam monarcha.

Ale pewnego wieczora, kiedy cesarz, leżąc w łóżku, słuchał znanej pieśni, nagle coś w ptaku brzęknęło, trzasnęło, zakręciło się, zawarczało trrr! i — umilkło.

Monarcha wyskoczył z łóżka i posłał natychmiast po nadwornego doktora. Cóż tu jednak poradzić mógł doktor? Udano się do zegarmistrza i ten, obejrzawszy bardzo uważnie maszynkę i pokiwawszy głową w rozmaite strony, zdecydował, że ptaka naprawić jeszcze można, lecz zarazem zapowiedział, że trzeba oszczędzać go bardzo, gdyż śrubki się wytarły, a zastąpić je nowymi niepodobna.

Rozpacz! Tylko raz na rok można było teraz nakręcić słowika, a i ta próba zawsze była dla niego niebezpieczna. Toteż po każdej pieśni kapelmistrz nadworny ocierał spocone czoło i wygłaszał mowę, bardzo piękną i pełną najniezwykłych wyrazów, w której zapewniał, że śpiew sztucznego ptaka doskonalszy jest niż kiedykolwiek.

I znowu pięć lat upłynęło, kiedy niespodzianie na kraj spadło już teraz prawdziwe nieszczęście: cesarz zachorował ciężko i doktorzy zapewniali, że nie ma dla niego ratunku. Wybrano więc następcę i tylko lud, przywiązany szczerze do monarchy, gromadził się przed pałacem, dopytując o jego zdrowie.

— Hm! — odpowiadał mu tylko szambelan i potrząsał głową znacząco.

A cesarz leżał na wspaniałym łożu blady i zimny. Dwór cały miał go już za umarłego, więc pusto było w tej części pałacu; urzędnicy i mandaryni spieszyli do nowego władcy, bo on teraz rozdawać mógł łaski i skarby. Ze służby także przy nim nie było nikogo: lokaje i pokojówki, korzystając z chwilowego bezkrólewia, urządzili u siebie wspaniałe przyjęcie i rozpowiadali ciekawym o wszystkim, co wiedzieli i o czym nie wiedzieli wcale.

Wysłano dywanami wielkie sale i korytarze, aby kroków słyhać nie było, więc w pałacu panowała dziwna cisza, żadnym szmerem nie zakłócona.

Ale cesarz nie umarł, choć leżał bezwładny na purpurowym łożu, osłonięty ciężką kotarą z purpurowego aksamitu ze złotymi łańcuchami. Przez otwarte okno w padał do pokoju jasny blask księżyca i oświetlał salę, postać cesarza i sztucznego ptaka na jedwabnej poduszce u wezglowia.

Pierś monarchy podnosiła się zaledwie słabym i męczącym oddechem, gdyż czuł na niej ciężar, niby kamień olbrzymi. Otworzył oczy, ażeby zobaczyć, co go tak okropnie przygniała i ujrzał — śmierć. Na jego sercu siedziała, koścista, w jego własnej koronie, z jego mieczem w dłoni, sztandarem w drugiej. Wszystkie cesarskie skarby mu zabrała, teraz odbierze życie.

A spoza fałd kotary ciężkiej, aksamitnej, wysuwały się dziwaczne postaci: jedne uśmiechnięte, pogodne i jasne, inne okropne, straszne. Były to złe i dobre uczynki cesarza, które wróciły doń w godzinę śmierci, aby z nim razem opuścić tę ziemię.

Co chwila wychylały się spoza firanek i mówiły do niego.

— A pamiętasz o tym? — A to pamiętasz? — A nie zapomniałeś tamtej godziny? A tamto? A tamto?

I mówiły tak wiele, że choremu pot śmiertelny okrył czoło i nie wiedział, co począć, aby nie słyszeć ich więcej.

— Nigdy w życiu nie doznawałem takiej męki! — szeptał. — Ja nie chcę tego słyszeć! Muzyki! Muzyki! Bijcie w wielki bęben chiński, abym nie słyszał ich głosów! Nie chcę słyszeć, co one mówią!

Lecz postaci spoza kotary śmiały się i mówiły ciągle, ciągle, bez ustanku, a śmierć jak Chińczyk, wciąż kiwała głową w złotej koronie.

— Muzyki! Muzyki! — powtarzał zmęczony monarcha. — Słowiczku mój złoty, ty mi zaśpiewaj! Ja cię tak kochałem! Obsypywałem cię podarunkami, własny pantofel na twojej szyi zawiesiłem! Zaśpiewajże mi teraz! Czyż mi nie zaśpiewasz?...

Ale ptak milczał. Nie było nikogo, kto by go nakręcił, więc bezduszna maszynka zaśpiewać nie mogła.

I śmierć tylko patrzyła na chorego pustymi otworami w czaszce, a dokoła panowała straszna i dręcząca cisza...

Wtem na zielonej gałązce za oknem rozległa się pieśń cudna; to prawdziwy słowik!

Dowiedział się o chorobie cesarza i zaraz przyleciał do niego z pieśnią nadziei i ukojenia. I śpiewał tak cudownie, że straszne widziadła pobladły i znikły, a krew coraz szybciej krążyła w sztywnych i stygnących członkach umierającego. Śmierć nawet sama kiwać się przestała i zasłuchana, powtarzała tylko:

— Ach, śpiewaj jeszcze, śpiewaj!

— A oddasz mi cesarski miecz?... Cesarski sztandar?... Oddasz złotą koronę? — pytał słowik.

I śmierć oddawała zagrabione skarby jeden po drugim za pieśni cudowne.

A słowik śpiewał dalej, coraz rzewniej, piękniej. Śpiewał o nocy i ciszy cmentarza, gdzie kwitną białe róże na świeżej mogile, gdzie czeremcha rozlewa woń upajającą, a rosa łez ludzkich pada na trawę i kwiaty.

I porwana tęsknotą do ziemi ojczystej, śmierć się rozwiła w mgłę jasną i, lekka jak obłoczek, uleciała przez otwarte okno.

— O dzięki ci! — rzekł cesarz. — Dzięki ci, ptaku niebiański! Poznałem cię. Ja ciebie wygnałem z królestwa i granic państwa mego, a ty rozproszyłeś okropne widma, które mnie dręczyły i śmierć samą oderwałeś od mojego łóża. Jakże cię wynagrodzę?

— Już jestem wynagrodzony — odparł słowik. — Widziałem łzy w twoich oczach, kiedy po raz pierwszy zaśpiewałem dla ciebie i tego nigdy w życiu nie zapomnę. Łza — to najdroższy klejnot dla śpiewaka, większej nagrody nikt mu dać nie może. — A teraz usnij; sen powraca zdrowie; ja ukołyszę cię do snu piosenką.

I zasnął chory cesarz, uśpiony czarownicą, słodką melodią pieśni, co płynęła z serca.

Promienie słońca zajrzały przez okno do sali porcelanowej i cesarz zbudził się silny, zdrowy.

Przy nim nie było nikogo: służba myślała, że nie potrzebuje już od niej posług — tylko na gałązce za oknem śpiewał słowik, prawdziwy przyjaciel, który nie szukał nagrody i sławy, lecz umiał kochać wiernie.

— Zostań przy mnie na zawsze — rzekł do niego cesarz — będziesz śpiewał wtedy tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka rozbiję na drobne kawałki.

— Pozostaw go — prosił śpiewak — wszak służył ci wiernie, o ile było w jego mocy. Ja w pałacu żyć nie umiem, nie mogę tu wic gniazda; ja potrzebuję swobody i lasu. Jestem śpiewakiem Bożym i nie mogę na tym świecie być niczym niewolnikiem, ani służyć nawet najpotężniejszemu i najlepszemu z monarchów. Mogę być jednak jego przyjacielem. Co dzień wieczorem siądę na gałązce u twego okna i śpiewać ci będę, aby cię rozweselić i ukoić; moja piosenka zbudzi w twoim sercu przyjaciół prawdy, uczucia szlachetne, które dworacy sztucznie usypiają. Będę ci śpiewał o wszystkim, co ukrywają przed tobą. Mały ptaszek lata wszędzie, wszystko widzi, zna ubogie chatki rybaków nad morzem i pracujących w pocie i znoju rolników, których ty, panie, nie widziałeś nigdy. Nad koronę twoją przekładałam twe serce i do niego przemawiać będę w moich pieśniach. Przyrzecz mi tylko jedno.

— Wszystko, czego zapragniesz! — odrzekł, wstając, cesarz i na znak przysięgi miecz złoty

przycisnął do serca.

Wyglądał znowu wspaniale w bogatym cesarskim stroju, który sam dziś przywdział, słuchając głosu ptaka-przyjaciela.

— Nie mów nikomu o tym — dodał słowik — że jest ptaszek maleńki, który tobie tylko śpiewa pieśni miłości i prawdy. Wierz mi: tak będzie lepiej.

I słowik odleciał.

Do komnaty cesarskiej weszli dworacy i służba, urzędnicy i mandaryni; wszyscy przyszli pożegnać zmarłego monarchę, po raz ostatni spojrzeć na twarz jego.

Wtem stanęli zdumieni: cesarz stał ubrany, z mieczem, w koronie, zdrów, silny i wesoły.

— Witam was! — rzekł uprzejmie.